Rok 1901. Lwów, 27. Stycznia Nr. 4.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 27. stycznia. Nr 4.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. II, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 4:

Solidarność narodowa.

Ostatni ruch wyborczy do Rady państwa z Galicyi, bez względu na większe, lub mniejsze zmiany w składzie stronnictw polskich, przyniósł jedną wydatną korzyść, którą wśród danych stosunków naszego społeczeństwa w tej dzielnicy polskiej uważamy za największą.

Jest to mianowicie ogromne rozbudzenie się poczucia narodowego we wszystkich warstwach ludności.

Spowodował je atak frakcyj opozycyjnych na zasadę solidarności Koła polskiego w Wiedniu i reakcya, która ocknąwszy się przeciw temu atakowi, szukała zwycięzkiego wyjścia w identyfikowaniu pojęcia tej solidarności z narodową solidarnością i dzisiaj z tego stanowiska cofnąć się już nie może.

Większość Koła polskiego w Wiedniu stała zawsze silnie przy postulacie solidarności, ale ani słowem, ani tem mniej czynem nie stwierdzała narodowego tej solidarności charakteru. Pojmowano tam i traktowano tę solidarność, jako zasadę klubową i w tem znaczeniu wyzyskiwano ją na rzecz większości klubu dla celów taktycznych pewnej frakcyi. Dzisiaj, broniąc się wobec przeciwników dotychczasowej solidarności, dano jej hasło nawskróś narodowej organizacyi, a zatem takiej, jaką ona być zawsze powinna i na jaką zgodzić się musi każdy Polak, bez względu na stronnicze swe zapatrywanie.

Rozchodzi się tylko o to, że solidarność narodowa, jak z jednej strony powinna łączyć wszystkich posłów polskich. tak z drugiej znowu nie może podlegać przepisom klubowej solidarności takiej, jaką dotychczas uprawiało Koło polskie. Narodowa solidarność musi pozostawiać poszczególnym frakcyom i jednostkom większą swobodę w kwestyach, nie mających cechy narodowej. I dlatego, jakkolwiek trudno się nie zgodzić na wywody pp. D Abrahamowicza i Wł. Kozłowskiego, o polityce wolnej ręki Polaków, wygłoszone ubiegłego tygodnia w lwowskiem kasynie ziemiańskiem, — to jednak równie trudno pisać się na twierdzenie pierwszego z wymienionych panów, jakoby właśnie narodowe znamię solidarności nie pozwalało na zbyt daleko idącą zmianę statutów koła polskiego w Wiedniu. Przeciwnie, teraz dopiero, gdy wszystkie obozy nasze orzekły, że posłów naszych powinna obowiązywać narodowa solidarność, a więc zasada, rozszerzająca swobodę działania indywidualnego, kiedy taką podstawę organizacyi uznał sam p. Abrahamowicz, — teraz dopiero, powtarzamy, wynika logiczna konieczność rewizyi statutu Koła, celem zmiany jego przepisów z klubowej na solidarność narodową.

W kompanii wyborczej wszystkie bez wyjątku stronnictwa domagały się tylko solidarności dla spraw i ideałów narodowych; tem hasłem zwyciężyło Koło polskie w kraju i temu hasłu sprzeniewierzyć się nie może, a tem samem musi jak najrychlej zmienić swój statut o tyle, iżby, salwując solidarność narodową, ułatwiło — o ile możliwa — wszystkim polskim frakcyom przystąpienie do organizacyi.

Dzisiaj cofnąć się z tej drogi, znaczyłoby — zachwiać zaufaniem całego społeczeństwa do tego koła, za którego istnieniem i powagą tak stanowczo oświadczyło się przy wyborach.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śmierć królowej Wiktoryi.

We wtorek wieczorem umarła sędziwa królowa Anglii Wiktorya.

Wiktorya, królowa Wielkiej Brytanii i Irlandyi urodziła się w r. 1819 w Londynie, jako jedyna córka księcia Kent i księżniczki Maryi Ludwiki Sachsen-Coburg i odebrała wychowanie zwłaszcza pod względem politycznym, jako przyszła królowa ściśle według zasad stronnictwa Whigów, pod kierownictwem lorda Melbourne. Dnia 20 czerwca 1837 wstąpiła na tron angielski po śmierci swego bezdzietnego wuja Wilhelma IV. a dnia 28 czerwca następnego roku 1838 odbyła się jej uroczysta koronacya. W r. 1840 zaślubiła swego kuzyna ks. Alberta Sachsen-Coburg Gotha. Jako królowa trzymała się w sprawowaniu rządów form ściśle konstytucyjnych. Osobiste zaś jej zapatrywania skłaniały się początkowo na stronę Whigów, a póżniej już stale i bezwzględnie na stronę Torysów. W szczególności była królowa Wiktorya gorącą zwolenniczką polityki Disraelego (lorda Beaconsfielda). Wpływ jej na wewnętrzną i zewnętrzną politykę angielską był bardzo nieznaczny, wobec rozstroju parlamentaryzmu angielskiego i ograniczał się głównie na osobistą interwencyę w niektórych osobiście jej sympatycznych sprawach. W ten sposób przeszkodziła ona naprzykład wmięszaniu się Anglii w konwikt niemiecko-duński w r. 1848. Również i przyjęcie tytułu „cesarzowej Indyi“ w r. 1876 było wynikiem jej osobistej chęci. Jej małżeństwo i pożycie domowe było bardzo szczęśliwe, to też po smierci męża w r. 1861 wstrzymywała się królowa Wiktorja od życia publicznego i towarzyskiego, ograniczając je na niezbędne tylko przyjęcia i bale. Za to bardzo wiele czasu poświęcała na spisywanie pamiętników z życia własnego, które też niejednokrotnie okazywały się w druku. Dnia 21 czerwca 1887 obchodzono w Anglii bardzo uroczyście pięćdziesięcioletni jubileusz jej wstąpienia no tron.

Z dziewięciorga dzieci, najstarsza córka jej Wiktorya była żoną niemieckiego cesarza Fryderyka III, drugi zaś syn Albert Edward książę Walii, jest obecnie następcą tronu angielskiego, reszta córek powydawaną była za najrozmaitszych książąt rzeszy niemieckiej. Królowa Wiktorya była jedną z najstarszych... i najbardziej poważanych głów ukoronowanych, a u Anglików cieszyła się nadzwyczajną popularnością. Za jej panowania doszła Anglja do

wszechświatowej potęgi tak na polu politycznym, jako też i ekonomicznym. W ostatnich dniach życia swojego interesowała się królowa Wiktorja wojną transwalską w nadzwyczaj żywy sposób, zwycięskiego jednak jej zakończenia dla Anglii nie doczekała. Owszem zwycięstwa Boerów w ostatnich czasach spowodowały pogorszenie się stanu jej zdrowia, a kto wie, czy i bezpośrednio nie przyczyniły się do jej śmierci.

Edward VII.

Albert Edward książę Walii, najstarszy syn królowej Wiktoryi, który obejmuje dziś rządy Anglii pod mianem Edwarda VII, urodził się dnia 9 go listopada 1841 r. w Londynie.

Otrzymawszy staranne wychowanie pod okiem młodych jeszcze wówczas rodziców, odbył studya uniwersyteckie w Oksfordzie i Cambridgu. Zdobywszy odpowiedni zapas wiedzy, już w r. 1860 podjął podróż do Ameryki, a w r. 1862 zwiedził Wschód. Podróże te dopełniły niejako jego wykształcenia szkolnego i otwarły oczy na wiele zagadnień praktycznych życia.

W d. 10-ym marca 1863 r. pojął następca tronu angielskiego na dożywotnią towarzyszkę dni swoich młodziutką córkę króla Krystyana duńskiego, urodzoną dnia 1-go grudnia 1844 r. księżniczkę Aleksandrynę. Małżeństwo to błogosławione jest pięciorgiom dzieci, z których najstarszy, książę Klarencyi, umarł d. 14 stycznia 1892 r.

Wpływ księcia Walii na bieg spraw politycznych państwa był niezawodnie wybitny i głęboko sięgający, aczkolwiek na pozór treść ruchliwego i bujnego żywota jego wypełniały przeważnie: salon, klub, literatura, teatr, knieja i tor wyścigowy.

Dużo mówiono na dworze angielskim o przygotowanem na daną chwilę zrzeczeniu się przez księcia Alberta Edwarda prawa do tronu, skoro tenże raz otworzy się przed nim, na rzecz syna, księcia Jorku. Podobno ważne okoliczności ogólnopolitycznej natury przemówiły w ostatniej chwili za utrzymaniem kolei, przez naturę wskazanej.

Wynik wyborów do parlamentu.

Wybory do nowej izby ukończone. Rząd rozwiązał izbę poselską pod naciskiem zjednoczonych stronnictw niemieckich, które łudziły się nadzieją, że Koło galicyjskie powróci z wyborów osłabione i odda się im na łaskę i niełaskę. Rząd sam, znając stosunki lepiej, nie łudził się wprawdzie pod tym względem, ale sądził, że w innych obozach i kierunkach nastąpić mogą zmiany, któreby ułatwiły uzdrowienie chorej izby. Dzisiaj zastanowić się wypada, o ile urzeczywistniały się te nadzieje.

Rozbierając skład nowego parlamentu, stwierdzić można przedewszystkiem następujące ważne objawy: 1) nadzwyczajny wzrost nacyonalizmu, który wziął górę nad wszystkimi innymi prądami i był przy wyborach czynnikiem górującym; 2) upadek stronnictw radykalno-katolickich, opartych na agitacyi demagogicznej, a więc kierunku chrześcijańsko-socyalnego czyli antysemickiego i katolicko-ludowego, przy równoczesnych postępach kierunku katolicko-zachowawczego; 3) większe skupienie się niemców; 4) rozłam w obozie czeskim, który jednak — jak powszechnie sądzą — jest przemijający i skończy się skupieniem wszystkich grup czeskich w izbie; 5) nadspodziewane zwycięstwo radykalno-niemieckiego stronnictwa Wolfa i Schoenerera, a wreszcie 6) tryumf Koła galicyjskiego, które powraca do izby pod każdym względem wzmocnione. Dla lepszego zrozumienia sytuacyi podaję następujące zestawienie siły liczebnej głównych stronnictw: niemieckie stronnictwo ludowe 46, niemieckie stronnictwo postępowe 36, niemiecka szlachta wierno-konstytucyjna 27, stronnictwo chrześcijańsko-socyalne czyli antysemickie 22, razem z dawnej tak zwanej „Gemeinbürgschaft" niemieckiej 131, niemieckie stronnictwo radykalne 21, Koło galicyjskie 61, młodoczesi 53, szlachta czeska 19, drobne frakcye czeskie razem 15, polskie stronnictwa ludowe 8, rusini 10, rumuni 6, słoweńcy 15, chorwaci i serbowie 12, katolickie stronnictwo ludowe 22, socyaliści 10, włosi 19, do tego drobnych grup i posłów „dzikich" 23, razem 425.

Z powyższego zestawienia wynika, że po żadnej stronie, w myśl dawnej konstelacyi, niema większości. Katolickie stronnictwo ludowe bezwarunkowo do związku prawicy już się nie przychyli, o większości więc w każdym poszczególnym przypadku rozstrzygałoby albo to stronictwo, albo włosi, albo wreszcie luźne, małe grupki posłów.

Na podstawie liczb można więc mówić tylko o rekonstrukcyi prawicy, ale nie o rekonstrukcyi większości, bo ta już nie istnieje. Otwierają się przeto dla Koła galicyjskiego dwie alternatywy: albo polityka wolnej ręki, lub wytworzenie innej większości przy pomocy niemieckiej lewicy. Druga ewentualność nietylko sprzeciwia się dążnościom tak kraju jak i jego delegacyi, ale nadto byłaby zgubna i dla państwa. Czesi bowiem, którzy istotnie obstrukcyi nie pragną, byliby wręcz do niej zmuszeni, gdyby przy pomocy posłów polskich powstałą z przeciwnej strony większość.

Uroczystości w Cieszynie.

Śląskie to miasto było miejscem niezwykłych uroczystości. Otwierano „Dom polski", a powstanie takiej instytucyi będzie niewątpliwie ważnym czynnikiem w walce z napierającą nawałą niemczyzny.

Wewnątrz domu znalazły pomieszczenie wszystkie polskie stowarzyszenia i instytucye w Cieszynie się znajdujące, jak: Czytelnia polska, Towarzystwo zaliczkowe, Macierz, Znicz (związek polskich studentów na Śląsku) a wreszcie Towarzystwo pomocy naukowej. Tu znajduje się olbrzymia sala, w której odbywać się będą najrozmaitsze zebrania polityczne i towarzyskie. Sala jest tak zbudowana, że łatwo ją zamienić na ładny teatrzyk.

W tej sali odbyła się właściwa uroczystość.

Z estrady przemawiali: pastor Micheida i msgr. Świeży.

Przemówienia były bardzo gorące, przejęte miłością dla ludu polskiego, wzywające do prawdziwej nad nim pracy. W imieniu towarzystw, które znalazły pomieszczenie w domu polskim, przemawiał nauczyciel gimnazyalny, p. Kukucz, imieniem akademików p. Brzeski, w imieniu nauczycielstwa p. Mayer z Nowego Sącza, imieniem gości wreszcie p. Konopiński, dziennikarz, z Krakowa.

Wśród słuchaczy znajdowali się przeważnie włościanie z pod Cieszyna, którzy doskonale zrozumieli i odczuli wzniosłe hasło, rzucone przez mowców.

Sprawa kościelna w parl. francuskim.

Sprawa kongregacyi wchodzi na niespodziane tory. Socyalistyczna bowiem grupa posłów wniosła do laski marszałkowskiej nowy projekt, który dąży wprost do konfiskaty dóbr klasztornych. Według tego nowego projektu §. 13 ustawy ma mieć osnowę następującą:

„Dobra t. zw. „martwej ręki", ruchomy i nieruchomy majątek kongregacyi duchownych, przechodzą na własność państwa, które je natychmiast obejmuje w posiadanie. Członkowie kongregacyi zatrzymują, jako swoją własność prywatną, przedmioty, służące do użytku prywatnego, jak: bieliznę i ubranie. Biblioteki, archiwa, obrazy i inne dzieła sztuki, po spisaniu inwentarza, zostaną wcielone do muzeum. W tym celu spis inwentarza należy posłać ministrowi oświaty. Wszystkie sprzedaże dóbr klasztornych, wszystkie hypoteczne obciążenia od 14 listopada 1900 r. należy unieważnić, dobra zaś zasekwestrować. Następnie należy rozpatrzeć wszystkie kontrakty najmu sporządzone przez klasztory. Sąd rozstrzygnie, czy te umowy nie są tylko po to zawarte, aby ukryć właściwych właścicieli. Zabrane dobra klasztorne stają się własnością narodu i służą za podstawę utworzenia kasy, zabezpieczającej starość robotnikom".

Z Chin.

Na zbiorowej nocie mocarstw europejskich, wystosowanej do rządu chińskiego, widnieje już pieczęć władcy Państwa Niebieskiego. Dokumenty zostały już doręczone posłom. Telegram z Pekinu otrzymano w Nowym-Yorku d. 15. b. m. Według jego treści akt ten uroczysty odbył się w ten sposób, że ks. Czing udał się w towarzystwie starszego eunucha do „świętej dzielnicy miasta" i na dokumentach, otrzymanych od posłów, położył pieczęć cesarską. Należy się więc spodziewać, że układy pokojowe teraz już naprawdę zostaną rozpoczęte. Zamiary istotne mocarstw łatwo mogą wysnuć Chińczycy z ich postępowania w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa dla ciała dyplomatycznego. Straż bezpieczeństwa ma być wzmocniona do 6000 ludzi, istnieje nadto projekt utworzenia po za murami Pekinu osobnej dzielnicy dla dyplomatów. Komendanci garnizonów europejskich po wspólnych naradach proponują utworzenie instytucyi, która ma zapewnić opiekę prawną w Pekinie cudzoziemcom. Organ, czuwający nad życiem i mieniem obcych przybyszów, ma się składać z sędziów chińskich, których dla każdego okręgu w każdym wypadku mianować będą komenderujący generałowie. Według proponowanych przepisów międzynarodowych kara śmierci grozi za udział w rozruchach bokserów, za targnięcie się na życie lub mienie Chińczyków, czy cudzoziemców w czasie powstania, za napaści na policyę europejską lub jej zastępców, za opór stawiany w chwili aresztowania, za morderstwa lub usiłowanie morderstwa i t. d. Wyroki śmierci muszą być podpisywane przez komendanta okręgu, do którego sądzona sprawa należy.

Tyle co do bezpieczeństwa cudzoziemców i mieszkańców kraju.



BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ARCYBISKUPA.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Staś czuje łzę palącą pod powieką więc się odwraca szybko tyłem do miasta i podąża żołnierskim krokiem ku stacyi.

Dworzec pusty, choć za chwilę ma nadejść pociąg. Na peronie dwie, lub trzy osoby. Staś kupuje bilet czwartej klasy do Poznania, przemyka się na peron, nie zatrzymując się w sali dla pasażerów i porównowuje swój zegarek ze stacyjnym. Jeszcze pięć minut!

Wreszcie pociąg zajeżdża i Beńkowski wnosi swą walizkę do wagonu, a potem na chwilę jeszcze wysiada. Słychać głosy urzędników pocztowych, załatwiających wysyłkę paczek przy wagonie pocztowym, a zresztą wszystko gotowe do odjazdu. Jeszcze dwie minuty, jeszcze minuta...

Wtem jakaś dłoń chwyta Beńkowskiego za rękę, a za nim nawpół żałosny, nawpół błagalny, zdyszany głos się odzywa: Stasiu!

Beńkowski się odwraca i spostrzega Janka Majcherskiego, kolegę swego, syna kupca. Chłopiec, cały zdyszany, mówi urywanym głosem:

„Uciekłem... z lekcyi.. aby ciebie... pożegnać, bom się dowiedział, że dziś już jedziesz...“

Tu słychać głos konduktora, ostry i wymierzony, jak krok pruskiego żołnierza: „Proszę wsiadać!“

Majcherski Stasia za rękę wciąż trzyma, a głos jego błagalnych nabiera tonów: „Wybacz — żem do ciebie nie przyszedł — po — tem... Wybacz żem cię... opuścił — ale — ojciec kazał mi przysiądz, że do ciebie nie pójdę — i że książek naszych... nie ruszę...

„Ale ja nie wytrzymałem, Stasiu“ — kończy ze łzami w oczach.

Staś już stoi na platformie wagonu, a Majcherski, wpatrując się w smutne oblicze swego przyjaciela, mówi dalej:

„Myśmy się ciebie nie zaparli! Ja ci to mówię w imieniu wszystkich. Aleśmy potracili głowy.“

Rozlega się świstawka nadkonduktora i pociąg rusza. Majcherski, coraz przyspieszając kroku, nie odstępuje od wagonu Stasia, biegnie wreszcie kłusa, a wciąż mu słowa dorzuca, gorące, palące, jak łzy bólu i żalu:

„Opuszczasz nas — ale niezapomnij o nas! Byłeś duszą naszą! Tyś nas rozumiał — — —“.

Wagon wyprzedza biegnącego chłopca, a Staś czuje mimowolne jakieś drgania po policzkach. Salutuje więc dłonią koledze i cofa się do wnętrza wagonu. A Janek Majcherski, drżący ze wzruszenia i szybkiego biegu, opiera się bezwładnie o słup latarni i jakby jakieś łkanie odzywa mu się w piersi:

„Cóż my bez ciebie poczniemy, Stachu?!“

VI.

W Poznaniu.

Nazajutrz w godzinach przyjęć urzędowych Staś Beńkowski wszedł do kancelaryi adwokata poznańskiego, dra Mączyńskiego. Wprawdzie na list swój, pisany z Siekierzyna, nie dostał żadnej odpowiedzi, ale przypuszczał, że poczta siekierzyńska listy do niego przegląda i że tego listu właśnie ze względów politycznych mu nie doręczono.

Szedł więc śmiało po schodach prowadzących do biura adwokata i ucieszył się tak, jak gdyby przyjaciela miał zobaczyć, gdy mu dependent w pierwszym pokoju powiedział, że „pan mecenas jest i przyjmuje“, ale na razie ma w swym gabinecie gościa.

Beńkowski, widząc służącego w liberyi przy drzwiach, które prowadziły do gabinetu, wyjął z pugilaresika swój bilet wizytowy, aby się później kazać zameldować.

Bilet nosił tylko krótko imię i nazwisko Beńkowskiego. Po namyśle, Staś przyszedł do przekonania, że to mogłoby nie wystarczyć dla przypomnienia się, i dopisał ołówkiem „z Siekierzyna“. Te raz był pewien swego.

Mijała minuta za minutą, a gość gabinetu adwokata nie opuszczał. Chwilami tylko przez zamknięte drzwi dolatywały pojedyncze słowa, lub urywki zdań, wypowiedziane niskim, metalicznym głosem męskim. Gdy jakie słowa lub zdania zbyt wyraźnie dolatywały do uszu siedzących w kancelaryi, wtedy służący w liberyi schrząkał, nos hałaśliwie ucierał, lub przesuwał z szurgotem krzesła.

Ale to nie przeszkodziło Beńkowskiemu słyszeć parę razy kilka urywków rozmowy.

„Niech sam pan mecenas, jako chrześcijanin i katolik, przyzna, czy nie mam racyi“ mówił we wzburzeniu niski głos metaliczny, a potem dolatywały słowa, wypowiedziane przez adwokata:

„Bez wątpienia. Tak Ale“...

„Czy ja mu psuję jego interes? Czy ja przeszkadzam bierzmować, wyświęcać księży?.. Czy ja mu odmawiam knndmanów, aby nie dawali drogo płatnych mszy i wotyw“.

„No tak. Ale“.

„A więc czemu on mi psuje mój interes?! Czemu publicznie agitować każe przeciw mojej gazecie? Czy to ambony są na to, aby z nich lud odstręczać od czytania mojego pisma?

„Ależ niech pan pozwoli“, mówił adwokat i przyciszonym głosem zaczął wzburzonemu klientowi wyłuszczać swe poglądy.

Minął dobry kwadrans przynajmniej, zanim się otworzyły drzwi gabinetu i jeszcze na progu niski, krępy, gruby i czupurny człowieczek pytał natarczywie adwokata, który się wił, jak wąż, pod naciskiem jego pytań:

„Więc pan się nie podejmie sprawy o szkodzenie pismu!“

„Ale to nie ma żadnych widoków wygranej. Paragraf o obronie uprawnionych interesów zasłania w tej mierze“.

„A to bieda. I tu powiadają, że w Prusach każdy praw swoich dojść może. Mnie skrzywdzono, a nie mam na kim poszukiwać moich krzywd“.

„No — tak źle przecież nie będzie!“ zakończył adwokat rozmowę, wyprowadzając gościa do przedpokoju. Gdy się już za tym niepożądanym klientem drzwi zamknęły, adwokat zwrócił się w gniewie do naczelnego swego dependenta:

„Coś panu też do głowy przyszło puszczac tego człowieka do mnie! Obchodzi teraz po kolei wszystkich poznańskich adwokatów i chce proces wytoczyć arcybiskupowi o to, że jakiś tam proboszcz odradzał czytania jego „*Wywrotu*“. Licho nadało, czy co! godzinę czasu bajtlował i nie mogłem się pozbyć tego człowieka. Było powiedzieć, że mnie niema!“

Z temi słowy wchodził napowrót do swego gabinetu, gdy mu służący podał bilet Beńkowskiego.

„A — to kto?“ zapytał adwokat, służący zaś wskazał oczyma na Beńkowskiego, który wtedy powstał i skłonił się. Adwokat przelotnem spojrzeniem obrzucił postać młodego chłopca i poprosił go za sobą.

Po chwili zamknęły się za nim drzwi gabinetu.

„Niech pan siada, rzekł adwokat. Czem mogę panu służyć? Bo ja tylko karne sprawy prowadzę — tylko karne“ powtórzył raz jeszcze, zacierając ręce.

„Jestem Beńkowski, przypomniał się Staś.

„Tak. Czytałem nazwisko pańskie na bilecie“.

„Z Siekierzyna“ — —

„Bardzo dobrze. Cóż zatem?“

„Mój Boże! więc pan nie otrzymał odemnie żadnego listu?“ zawołał Staś ze zdumieniem i niepokojem.

„Listu? Od pana?“

„Ależ tak! Pisałem do pana z Siekierzyna, donosząc o rewizyach“

„A - a! tak. Przypominam sobie teraz! To pan! No proszę! W istocie czytałem jakiś list tej treści. Tak, tak rewizya. Polskie gazety, książki, wiersze patryotyczne. — Czy pan ich chce skarzyć o zwrot książek? nie radzę, nie radzę?“

„To jest, właściwie — bąkał Staś — ja myślałem, że mi pan mecenas odpisał, i że listu mi poczta nie doręczyła...“

„A to dobre! a cóżby poczta z nim zrobiła?“

„Myślałem że posłała do ministeryum do Berlina, do moich aktów!“

„To pan taki wielki zbrodniarz stanu?“ Tu się śmiać począł serdecznie adwokat, a potem ciekawie spoglądając na Beńkowskiego, kończył: „Nie proszę pana o opowiadanie jakichkolwiek szczegółów o waszej tam historyi w Siekierzynie, bo te rzeczy mnie wogóle nie interesują i lepiej o nich nie wiedzieć, jeśli im nie można

zapobiedz. — Aha, przypominam sobie. Pan się pytał o zajęcie w biurze. Otóż na razie mam już jednego takiego praktykanta, reszta zaś — to wszystko miejsca płatne, oddawna odsadzone. Bezpłatnymi ludźmi zaś dobrze się posługiwać w pewnych granicach tylko — więc pan wybaczy..."

„O, panie mecenasie"

„Czy pan tu dawno już w Poznaniu?„

„Od wczoraj".

„To tak! Skoro się pan tu rozpatrzy, a mógłbym panu być w czem pomocny, to proszę liczyć na mnie — —."

Z temi słowy adwokat wyprowadził Beńkowskiego z gabinetu. — — —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Henryk Jabłoński.

Po pogromie.

Niechaj pędzą w świat tułaczy,
Nie bez końca przecie świat,
Jeszcze wróg nas tu zobaczy,
Jeszcze zemstą krwawych strat
Przypomnimy mu te dzieła.
Jeszcze Polska nie zginęła!

Czy to Dunaj, Dniepr, czy Wisła,
Czy Sekwany srebrny zdrój,
Byle w ręku broń zabłysła,
Byle wolność, byle bój.
Z każdej kuli dobra blizna,
Gdzie ta wolność — tam Ojczyzna.

Nie płacz Matko! — Co pomoże?
Przeminęły żalów dni.
Ma już Polska łzawe morze,
Trzeba czynów — morza krwi
A z łez morza i z krwi morza
Męczennica wstanie Boża.

Nie płacz Matko, — lecz proś Boga
Niech ja zginę — a mój zgon
Niech opłacze matka wroga,
Uweseli wroga skon.
Dziękuj Bogu za twe dziecię,
Polska niesie swoje życie!

Droga Polko! — niebo moje
Wierz, jak miłość sercu Ty,
Ale milsze krwawe boje,
Podaj rękę, otrzyj łzy.
Gdy mię w bitwach Bóg zachowa,
To dla Ciebie — bywaj zdrowa!

Przyjaciele — dłoń do dłoni!
W świat na Zachód, czy na Wschód,
Wszystko jedno, gdzie stal dzwoni,
Gdzie grzmi hasło: Bóg a lud!
Ja tam będę, wy będziecie,
Gdzieś znajdziemy się na świecie...

Dr. H. G.

Czarne miasto.

W Rosyi rzadkie są miasta, któreby amerykańską szybkością przez noc wyrosły, w którychby wrzała walka przemysłu fabrycznego z żądzą posiadania, a któreby się stały punktem oparcia dla tysięcy wykolejonych indywiduów, rekrutujących się z najrozmaitszych krajów i narodowości, a goniących na oślep za zwodniczym blaskiem mamony. Na kończynach państwa rosyjskiego, blisko granic Persyi i Turcyi, nad morzem Kaspijskiem, znajduje się taka miejscowość. Jestto miasto naftowe Baku.

W sierpniu zeszłego roku zawiodły mnie wędrówki po Kaukazie, również i do Baku. Przybywałem z Tyflisu. Zachwycałem się podczas ośmnastogodzinnej podróży najsprzeczniejszemi widokami: po jednej stronie obrazy bujnej, tętniącej życiem przyrody, po drugiej obraz pustki i martwoty. Z północy spoglądał groźnie dziki łańcuch wielkich gór kaukaskich, pokryty białemi śnieżnemi czapkami; z południa wyzierały wdzięcznie falujące pagórki. Tu tłuste pole uprawne, gęste winnice, tam melancholijne doliny i zielonawe bagniska, przepełnione pelikanami, czaplami i bocianami.

Im więcej zbliżałem się do Baku, tem jednostajniejszą stawała się scenerya. Tu i ówdzie zaczęły się wznosić bezleśne, głazami nadziane góry, pokryte jaskrawem światłem słonecznem. Suche osły bujały po żółtym stepie. Jedynemi mieszkaniami ludzkiemi, były białe mury stacyj kolejowych. Po dolinie rozwłóczyła się ciężka atmosfera, zmieszana z dusznym zapachem nafty. Na bocznej trasie kolejowej stoją rzędami wysokie wagony, przeznaczone do wywozu surowicy.

Jesteśmy przed miastem. Z niezliczonego mnóstwa małych, prostokątnych domów składa się ta dziwna miejscowość. Wtem wzrok nasz pada na przedmioty wielce zajmujące: to basztami pokryte obmurowane, pozostałość jeszcze z czasów perskich, dalej stary pałac chanów, pokryty zdaleka widnemi ozdobami architektonicznemi, a wreszcie fantastyczne kolisko niedawno zbudowanej katedry moskiewskiej. Napróżno szuka wzrok zieleni ogrodów. Silny napór wiatru sypie sam nagle piasek w oczy tak, iż zaledwo oddychać możemy. Owłada nami uczucie niesmaku, lęku. Nie do pozazdroszczenia są ci ludzie, którzy tu mieszkają, nawet mimo ich olbrzymich bogactw.

Przed pięćdziesięciu laty było Baku jeszcze małą, brudną wioszczyną tatarską. Brudnem jest jeszcze teraz, ale ludność, zamieszkująca Baku i okolicę, wynosi obecnie już 150 tysięcy dusz!

Już od lat tysięcy znano na terenie kaukazkim źródła naftowe, tego czarnawo-zielonawego płynu, z którego nowoczesna metoda destylacyjna tak cenne produkty wytwarza, jak cerozynę, benzynę, gazolinę, parafinę i t. d. Kiedy Rosya te kraje zdobyła, ogłosiła tereny naftowe bez dłuższych ceregieli za własność rządową. Wówczas dochody z wszystkich studni wynosiły około trzy miliony rubli. Teraz wartość ich jest pięćdziesiąt razy większą.

Na przestrzeni trzech tysięcy kilometrów kwadratowych ziemia jest podobna do gąbki, przesiąkniętej naftą. Ale tylko 50 kilometrów podlega dotychczas wierceniom. Baku zaś wraz z pobliższemi polami eksploatacyjnemi w Balachané, Szabenthi i Szarachané, stanowi środowisko przemysłu naftowego.

Balachaneé, którego teren naftowy wynosi około 15 kilom. kwadr., jest z Baku połączone koleją żelazną. Pierwsze kroki zwróciłem ku tej miejscowości. Las wysokich czarnych wież wskazał, iż przybyłem na miejsce. Kierownik niemieckiego konsulatu towarzyszył mi i zaprowadził do miejsca, gdzie właśnie studnię wiercono, do fontanny właśnie tryskającej i do wnętrza jednej z wież.

Jak daleko okiem sięgać było można, rozciągała się szara, naga ziemia, stały

czarne z desek sklecone wieże. Zagadką dla mnie było, jak się furman, ogorzały tatar, któremu włosy z czoła spadały, aż po pas, mógł wyznać w tym labiryncie. Przewodnik mój zawołał doń: „Wieża 180“, „425“, „571“, a bez zmylenia drogi poganiał ku celowi swe karłowate koniki.

W następujący sposób wydobywa się na Kaukazie naftę z ogromnych, podziemnych basenów. Domyśliwszy się na pewnem miejscu istnienia nafty, przystępuje się do odgraniczenia pola o obszarze 10—12 metrów kwadr. Z silnych belek buduje się rusztowanie na 50 metrów wysokości i otacza cienkiemi deskami. Następnie przystępuje się do wiercenia. Dokonuje się ono zapomocą ciężkiego dłuta, wiszącego we wnętrzu wieży na żelaznych okowanych prętach. Stosownie do oporu opoki, przebija to dłuto w ciągu doby 2—4 metrów ziemi. W wywierconą przestrzeń wkłada się rury o średnicy $^{3}/_{4}$ metra. W ten sposób powstaje zwolna kolumna złożona z rur, kierując wytryskiem ropy, jak zwykła studnia wypływem wody.

Kiedy się rury dotkną zbiornika ropy, wówczas wytryska z ziemi wysoka fontanna. Czasem siła tej płynnej masy jest tak wielką i demoniczną, iż całe rusztowanie wraz z dachem i maszynami wewnątrz stojącemi, druzgocze wciągu kilku sekund i w powietrze wysadza. A kiedy nastąpi równowaga między naporem atmosfery, a naprężeniem gazów, wewnątrz ziemi się znajdujących, wówczas kończy się wytrysk zdroju. Wówczas rozpoczyna się praca nad wydobyciem z wnętrza nafty, zapomocą drewnianych rur znajdujących się wokoło wieży.

Jedyną mocą, której władztwo najbardziej się ujawia podczas zdobywania nafty z toni ziemi, jest szczęście. Jednemu tryska fontanna całemi dniami, ba nawet tygodniami (fontanna braci Kobel przyniosła pewnego dnia 70000 pudów płynu, a pięć innych fontan w ciągu roku 80 milionów pudów), inni natomiast wydobywają ze swych studni czasem miesiącami całemi tylko muł i wodę. Tak więc wiercenie nafty jest grą hazardową na wielką skalę. Tu ogromne sumy bezowocnie i bezpowrotnie się marnuje, tam zaś wypływają w ciągu kilku dni miliony do kieszeni szczęśliwców.

Podczas mego pobytu w Balachané wydarzył się jaskrawy wypadek dowodzący, jak wielką jest siła przypadku i szczęścia. Majętny tatar wybudował na swym gruncie wieżę, miesiącami pracował, atoli bez skutku. Szrzedał swe pola, bydło, dom, byle tylko zdobywać nowe sumy, na dalsze wiercenie. Wreszcie wyczerpał się jego majątek do ostatniego. Wówczas sprzedał swe mienie pewnemu Anglikowi za kilka tysięcy rubli. Ten dalej pracował i już w trzy dni po nabyciu terenu wytryska wspaniała fontana czystej ropy, której dwutygodniowy wytrysk przedstawia wartość więcej, niż 100.000 rubli.

Z rezerwoarów w Balanchané przepływa podziemnemi lub nadziemnemi rurami surowica do fabryk w „Czarnogrodzie“, oddalonych nieledwie o 10 kilometrów.

Długotrwały i ciężki to proces, zanim się surowica da przeobrazić w rozmaite produkta handlowe, uzyskane rozmaitemi metodami czyszczenia i zgęszczania materyału surowego. Przepuszcza się go przez liczne naczynia i aparaty, owiane najrozmaitszą temperaturą, zanim się zeń wyłoni po porządku najpierw gazolina, potem benzyna, a wreszcie kerozyna. Zupełnie oczyszczony olej skalny przechowuje się we wielkich okrągłych blaszanych zbiornikach, zanim się go ładuje w specyalnie ku temu budowane okręty, lub wagony.

Nauka zbadać nie zdołała dotychczas, czy się pokłady naftowe w łonie ziemi nigdy nie wyczerpią, czy się zawsze napełnią płynem. A gdyby pewnego dnia te olbrzymie podziemne siły wytwórcze ustały w produkcyi oleju skalnego, wówczas świetność „czarnego miasta“ Baku zniknęłaby tak raptownie, jak i niespodzianie wykwitła.

Adolf Neuwert-Nowaczyński.

TUBALKAIN.

GROTESKA.

Na pierwszem piętrze domu pod l. 5, przy ulicy Ochoczej, Hożej, czy Wesołej, mieszkał j e d e n dyrektor banku.

Na drugiem piętrze dwóch profesorów uniwersytetu, bogatym żonom poślubionych. Na trzeciem piętrze trzech urzędników prywatnych instytucyj, dwóch redaktorów, jeden baron, jeden kupiec; na czwartem piętrze sześciu malarzy, jeden matematyk, trzech urzędników kolejowych, dwóch poetów z Bożej łaski, jeden poeta z łaski reporterów i bardzo inteligentna, więc niezrównanie brzydka nauczycielka muzyki, naturalnie fortepianu.

W oficynach mieszkali szewcy, ślusarze, krawcy i wogóle ludzie, których nazwano raz na zawsze rękodzielnikami, co ci tłómaczą pochodzeniem od dzieła rąk, tamci od dzielności rąk, a ktoś podobno od działalności rąk.

Głupstwo, nie o to teraz chodzi, ale o tamto, o zjawiskowe stworzenie w parterze oficyn, ten fenomenalny okaz twarzy ludzkiej, o tego Grankę.

Zorż Granka był mężem praczki, tak jak ktokolwiek może być mężem aktorki, mężem żeńskiego doktora chorób skórnych i analogicznych, mężem energicznej żony, mężem od parady. Za młodu był kelnerem, poczem kelnerem płatniczym, poczem płatniczym oszustem, poczem oszustem restauratorem, poczem restauratorem bankrutem, poczem bankrutem kryminalistą, poczem byłym kryminalistą, poczem emerytowanym kryminalistą, człowiekiem z przeszłością, mężem do wzięcia w przyszłości.

W trzydziestym roku życia dał przypadkowo trzy koszule różowe w zielone paski do prania, a w jakiś czas potem kobietę, która zdecydowała się na wypranie tego rodzaju koszul, poślubił.

Oświadczył się tej praczce z ulicy Radośnej czy Szalonej w sposób logiczny, racyonalny bez domieszek płytkiego sentymentalizmu:

Pani Kalikstowa mieszka od oficyn, ja bardzo lubię mieszkać od oficyn, pani Kalikstowa ma troje bębnów, a ojców dla tego potomstwa nie wyszukałabyś już pani i z paczką świec stearynowych, a ja dzieci mniej więcej prawie że nie mam, więc dajmy na to, nie obrażając honoru pani, ja stoję jak wół do karety i ino mnie brać, co?

...Kiedy podobno pan Żorż próżniak i nicpoń, a podobno i w kozie się bywało, hę?

...W kozie nie w kozie, na wozie i nie na wozie, ale zawsze i kelnerem byłem w hrabsko książęcym restaurancie i restauracyjkę sam miałem i 500 serwet z monogramami i bardzo złoty szyld i dyabli wiedzą, co jeszcze. Teraz się tego nie ma, ale za to wynalazki, rozmaite perpetua i automobile, krocie będą, jak słowo daję, milionowe krocie, tylko cicho, czekać w kącie i sza, sza.

...Już kto tam wie, kiedy będą! (sceptyczny ruch ramion).

...Dziś jutro, byle gotóweczka była na machiny, tak jak jej teraz nie ma, chyba że pani Kalikstowa da rączkę do ołtarzyka a potem siknie coś z gotówki, no!

I po dwudziestu sześciu takich i tym podobnych rozmowach, prowadzonych coraz to więcej dgrającym namiętnościami, coraz to cichszym, filuternie modelowanym głosem, udało się wreszcie Grance przekonać praczkę brudów z ulicy Śmiejącej czy Ochoczej, że małżeństwo z nim, jest dla niej awansem o trzydzieści pięć szczebli na drabinie hierarchii socyalno-towarzyskiej, i ślub byłego restauratora z obecną praczką odbył się się, tak jak się odbywają śluby jeszcze funkcyonujących restauratorów z praczkami, o ileby oczywiście podobna kombinacya małżeńska była możliwą w tych czasach, w których już tak rzadko zresztą mówi się o mezaliansach.

Wiele lat przechodziło podobnych do siebie tak bardzo, jak podobna jest dzia-



WIEŚ POLSKA.

twa kobiety, której udało się raz w życiu mieć przynajmniej czworaczki. Praczka Kalikstowa prała jak zwykle bieliznę różnych ludzi, starzejących się z dnia na dzień. Mąż jej Żorż prał Kalikstowę jak zwykle, wymyślając jej od pomywaczek płótna, ordynarnych babsztylów, obrzydłych ropuch, ohydnych krów, wyrzucając jej niskie pochodzenie, mydlinowy światopogląd, czerwone ręce, pogardzając nią za to, że jego „talentu“, jego iskry Bożej, jego wyższego duchowego „ja“ nie rozumie.

Bo i on przecież miał iskrę Bożą w łonie pod tą sumiennie wypraną, wykrochmaloną, wyprasowaną koszulą, która niedawno jeszcze była własnością hrabiego z przeciwka przy ulicy Hulaszczej czy Rozpustnej. Miał talent wynalazczy, talent intuitywnego mechanika, nowego Papina (kociołki), czy Stevensona (lokomotywy) talent, który lada chwila, dziś, jutro, po jutrze miał dlań zdobyć rangę i dostojność: polskiego Edisona.

Dzieckiem w kolebce kto łby urywał muchom i to systematycznie wszystkim muchom spotkanym przy oknach, ten mógł w lat kilka potem skonstruować mały młynek, który w ruch wprawiała woda z rynsztoka, ten mógł w lat kilkanaście potem zostać kelnerem, restauratorem i mężem bogatej praczki zamieszkującej przy ulicy, która słusznie nazwaną była Wesołą, kiedy stały przy niej dwa szpitale i to jeden dla obłąkanych, a nadto i lombard.

Pocóż zresztą dłużej ukrywać tajemnicę Żorza Granki; on jej sam nie ukrywał, nie dawał światła pod korzec, nie gasił tego, co w nim paliło się wielkim płomieniem, nie zalewał płomyków swych pomysłów mechanicznych, ale owszem dumnie i śmiało głosił swą wolę ku lokomocyi, swe tendencyc automobilowe, swą głęboką wiarę w motor nowy benzynowy, który kiedyś w majaczącej w mrokach przyszłości jego i jego żonę i jej bębny w wygodnym a wytwornym samochodzie, popchnie do uznania, popularności i sławy.

Płynęły lata za latami, podobne do siebie jak gazowe latarnie ulicy Ochoczej, słusznie dla swych szpitali tak nazwanej, a Żorż Granka były kelner, a przyszły Edison przejadał i przepijał mydłem i krochmalem zapracowaną monetę ordynarnej żony. Nie przepijał jako one celniki, które wlewają w zazębione otwory swych bladych twarzy całe spokojne oceany piwa i czarne morza boku i żółte rzeki koniaku. Był wrogiem alkoholów, odkąd pewnego typu powaga naukowa, prawnuk Eskulapa, a daleki powinowaty Wenery powiedział mu kategorycznie, jako każda kropla alkoholu, spadająca w jego żołądek, wydrąży w nim ostatecznie dziurę tej wielkości że przez nią śmierć wygodnie sobie weń wlezie. Nie pijał więc Granka alkoholu, ale za to kawy z kożuszkami, zupy rakowe, czekolady i orszady, wody sodowe z wybrednymi sokami i drogie wody alkaliczne.

Przytem uwijał się z jedzeniem, a jadł za sześciu i to za sześciu kancelistów, czy też autorów dramatycznych, jadł jak smok.

Tylko, że jacy tacy autorowie jedzą gulasz i cielęcą, a on wybierał pulardy i kapłony, a jedząc myślał i medytował nad automobilem o motorze benzynowym, o kolejach parowych, praczkach, kelnerach, zbankrutowanych restauratorach, a myśląc dłubał wykałaczką w zębach, a skończywszy dłubać, zapalał cygaro i odkładał na bok prześlicznie wyprane manszety (dawną własność barona z pierwszego piętra) i zaczynał grać. W karty? Tak w karty.

Grywał w wista, winta, maczka, geryłasza, taroczka, preferka i szmendę.

I w tem leżał jego „ból istnienia“, jego „tragedya nadludzka‘, jego smutek, przepotężny rozpaczny smutek człowieka przerastającego otoczenie o głowę.. o łysą głowę z zgarniętymi i zczesanymi na front włosami barwy starego popiołu.

Co zaś do reszty jego powłoki, to wyznać trzeba, składały się na nią długie kościste nogi, wydęty obwisający, jak to mówią brzydko brzuch i na długiej podatnej do wysokich hrabiowskich i baronowskich kołnierzyków szyi, twarz, gabinetowa fotografia duszy, a w tym razie harmonijne skombinowanie trzech twarzy: rzezimieszka, aktora i aktora, który ucharakteryzował się na rzezimieszka.

Godziny popołudniowe poświęcał Granka grze w karty ale zato przedpołudniowe pracom wynalazczym, aby się stało zadość słowom: w pocie czoła żony twej spożywać obiady w restauracyjce narożnej będziesz.

(Dokończenie nastąpi).

Klemens Podwysocki.

NOCTURNO.

I.

Byłem młody! O młodości!
Cudne twoje sny, rojenia!
Raj — zachwytów ci zazdrości!
Blask twój — groby opromienia!

Byłem młody! Orła lotem
Duch mój bujał hen, wysoko...
I w słonecznem morzu złotem
Zatapiałem orle oko.

Rozklęczona u stóp Boga,
Dusza pieśnią się modliła...
I nadzieja taka błoga
W pierś wpływała! Taka siła!...

Przeszłość zmarłą, mocą słowa,
Jak Łazarza On, wskrzeszałem...
I wstawała piorunowa,
Zdrowa duchem, zdrowa ciałem!...

I roiłem przyszłość złotą,
I królestwo prawdy Boże...
Ślub miłości z wiarą, cnotą —
I zmienione w sierpy noże!...

Odrodzona i szczęśliwa
Ludzkość w hymnach Boga chwali!
Mędrzec wiedzy klucz zdobywa —
Nigdzie jęku, zgrzytu stali!...

I podnosi z krwi otchłani
Ziemia swe promienne skronie..
Wielcy, mali, pobratani..
I świat w blasku zgody płonie!...

II.

Uleciały młode lata,
Jak rajskie ptaszęta!
Czas i piórka z nich rozmiata..
Serce je pamięta!..

Uleciały młode lata,
Pierzchły marzeń roje!
Skroń ludzkości cierń oplata!...
O, sny złote moje!..

Skroń ludzkości cierń oplata —
I w pioruny zbrojna,
Nad rozdartą piersią świata
Pastwi się wciąż wojna!

Ludzki do mnie jęk dolata...
Groźne mieczów zgrzyty...
Prochy mężnych wiatr rozmiata!
Wre bój krwi niesyty!..

Uleciały młode lata,
Jak rajskie ptaszęta!
Czas i piórka z nich rozmiata!
Serce je pamięta!



Dr. Jan Stella-Sawicki.

ALGERYA.

(Ciąg dalszy)

Prawie cała ludność Afryki północnej jest mahometańskiego wyznania, lecz do tego stopnia zepsutego różnego rodzaju dodatkami i przesądami, że prawowierny wyznawca proroka, niechce ich uznawać nawet za braci swych w wierze. Religijny fanatyzm znikł zupełnie między nimi tak, że teraz głos szeryfów do wojny świętej w imię religii, nie łatwo może być wysłuchanym, jeżeli nie znajdą się inne powody niezadowolenia. W górach cała wiedza religii ogranicza się na znajomości Fellah, czyli „Ojcze nasz" muzułmańskiego; większa zaś część górali i Arabów koczujących zapomniała wszystkich obrządków religijnych, rzadko pości, nie święci zwyczaju obmywania się i odmawiania modlitw nakazanych.

Arabowie w handlu nie są uczciwi ale ofiarą oszukaństwa padają zwykle tylko Europejczycy, których krzywdzić nie ma grzechu, owszem jest zasługą. W stosunkach ze sobą Arabowie są niezmiernie rzetelni. Plemiona osiadłe poruczają nieraz plemionom koczującym całe swe mienie dla zamiany na różne produkta w Sudanie, Tunisie i Marokko i prawie nigdy nie słychać o oszukańs twie, chociaż żadnych aktów piśmiennych nie używają między sobą.

Najbrzydszą stroną arabskiego charakteru jest nadużywanie władzy i zdzierstwa naczelników plemion. W górach, gdzie zachowało się więcej niepodległości i gdzie władza jest podzielona między wielu naczelników, ludność nie pozwala siebie skrzywdzić, tuż na równinach nadużycia są częste i wielkie. Szejki i kajdy trzymają ręce nieustannie w kieszeniach ludu i biorą stamtąd, ile im się podoba, nawet nie zachowując tak, jak u nas, form przyzwoitości. Przy podziale pól najlepsze części dostają się tym, którzy mogą więcej zapłacić, czy się kto urodzi, czy umrze w rodzinie naczelnika, plemiona wszystkie płacić muszą; jeżeli naczelnik wybiera się w drogę, plemię ponosi koszta podróży. Jednem słowem, każdy namiot płaci podatek albo masłem, albo jajami, chlebem, oliwkami, daktylami, albo drzewem opałowem i t. d.

Z wielkim żalem porzuciłem Biskarę, gdzie zostawiłem tyle mi życzliwych i przyjaznych osób. Naczelnik francuzkich wojsk dał mi za przewodnika Araba Ayeda, spahisa, nieźle mówiącego po francuzku, młodego i bardzo zręcznego człowieka, który nieraz już przebiegł piaski pustyni z północy na południe, lub z zachodu na wschód. Rzeczy moje, kilka bułek chleba, kilka worków daktyli i kilkanaście butelek wina wziął drugi arab na mule. Chociaż wyjeżdżałem ze świtem, wszyscy znajomi moi odprowadzali konno, az do ostatnich krańców oazy, życząc szczęśliwej podróży i zachowania ich w pamięci.

Gdy już oaza znikła mi z oczu, a bezgraniczny step odkrył się przed nami, ze zdumieniem patrzyłem na mego towarzysza Araba, który bez drogi jechał z taką pewnością siebie, jak gdybyśmy przed sobą mieli doskonały gościniec. Na żółtym piasku pustyni nie było żadnego przedmiotu, według którego możnaby było orjentować się. Gdzieniegdzie rosły bodiaki, lub pięła się mała roślina, owoce której nadzwyczajnie gorzkie, były podobne do pomarańczy, lub do bardzo małej tykwy. Po czterogodzinnej podróży, zatrzymaliśmy się, aby posilić się nieco. Przewodnik wbił w ziemię parę kołków drewnianych, które miał z sobę, przywiązał do nich konie za nogi, a następnie, zapaliwszy zapałką zebraną suchą trawę, zaczął piec strusie jajo, które kupiłem w Biskarze. Usiedliśmy na ziemi i maczając chleb w tej na prędce zaimprowizowanej jajecznicy, zakąsiliśmy daktylami i zapiliśmy winem, od którego nie wymówiły się nawet dzieci proroka. Konie tymczasem jadły bodiaki i ostre trawy, których nie tknęłyby nawet nasze europejskie konie. Wiatr południowy dął z wielką siłą i ogień rozpalony szerzył się po suchej trawie. Wkrótce odkrył się przed nami ciekawy widok, dający choć małe pojęcie tego, co się czasami dzieje na większą skalę w Ameryce. Utworzyło się obszerne półkole ognia i dymu, które popędziło ku północy, ciągle się szerząc więcej. Nabawiwszy oczy tym dzikim obrazem zniszczenia, siedliśmy na koń i posunęliśmy się znowu na południe. Tu i ówdzie wielkie piaszczyste pagórki, świadczyły o strasznej sile Somumu i Chansinu, wiatrów stepowych, które nagromadziły te piaski.

W ciągu dnia spotkaliśmy kilka dość licznych stad gazli pasących się w stepach. Konie nasze przywykłe do marszu i trudów pomimo zmęczenia chętnie poszły w zawody z temi bystronogiemi zwierzątkami. Pędziliśmy za niemi długo, lecz nie udało się nam zbliżyć ani razu na strzał rewolwerowy, jedynej broni którą mieliśmy z sobą. Gdy już dzień chylił się ku końcowi, w oddaleniu przed sobą obaczyliśmy nas Liszany, do której dążyliśmy od rana. Dnia poprzedniego, przez Araba w tę stronę pisałem list do Kaida plemienia, prosząc go o gościnność według arabskiej formułki, którą mi dali Francnzi.

Zaledwo pokazaliśmy się na horyzoncie, z oazy wyjechało dwóch jeźdźców na prześlicznych arabskich rumakach, pokrytych złocistemi makatami. Byli to dwaj najstarsi synowie Kaida, wysłani na powitanie gościa. Obadwaj byli ubrani w białych burnasach i jedwabnych hajkach, a głowy mieli opasane długim czarnym sznurem z sierści wielbłądziej. Zbliżywszy się na kilkadziesiąt kroków, zsiedli z koń i trzymając cugle w ręku, przystąpili do mnie. Jeden po drugim ucałował mi rękę. Uścisnąłem ich za ręce i prosiłem Ayeda aby im powiedział, iż z dalekich stron przybywam do nich, aby poznajomić się z ich życiem i obyczajami i proszę o gościnność na noc jedną. Obaj przyłożyli ręce do głowy i do serca na znak, iż radzi są gościowi, potem wskoczyli na koń i podążyli ku oazie, wskazując nam drogę.

Przy wjeździe do oazy pod grupą palm czekał nas stary, poważny naczelnik plemienia, otoczony starzyzną. Gdym nadjechał zbliżył się do mnie, położył rękę z początku do czoła swego, a potem do mego kolana i rzekł: „Niech Bóg cię błogosławi w naszych progach". Zeskoczyłem z konia, podałem mu rękę i poszliśmy razem, otoczeni ciekawymi. Murzyn, sługa Kaida, wziął w opiekę mego konia.

Oaza składała się z kilkuset domów, zbudowanych jak wszystkie tutejsze domy na słupach palmowych, z tarasami zamiast dachów. Ściany były ubite z gliny zmieszanej z trawami i pobielonej wapnem. Około każdego domku znajdował się ogród z palm, a pod ich cieniem zieleniły się pola okryte ryżem, kukurudzą, lub czerwoną papryką. Na tarasach przechadzały się kobiety. bez żadnego okrycia na twarzy i z ciekawością patrzyły na przybysza. Wiele z nich miały twarze zeszpecone blanszowaniem. W środku oazy stał dom piątrowy -- mieszkanie Kaida, a obok niego meczet z wysoką basztą z której muzzein wzywał do wieczornej modlitwy. Była już siódma godzina wieczorem na zegarku moim, słońce zachodziło a noc jak to się dzieje w krajach południowych natychmiast pokryła płaszczem swym ziemię.

Kaid wprowadził mnie na pierwsze piętro pomieszkania swego, gdzie już były posłane dywany i poduszki na ziemi. Murzyni — niewolnicy wzięli dwie świece stearynowe rozstawione w wielkie posrebrzane dwuramienne lichtarze. W czasie drogi gospodarz zapytał mnie czym nie głodny. „O i bardzo" odrzekłem mu otwarcie, gdyż zmęczyłem się prawie piętnastogodzinną jazdą i upędzaniem się za gazellami, a od rana oprócz jajecznicy nic nie jadłem. Kaid wskazał mi miejsce, na które siadłem kurcząc nogi pod siebie jak wszyscy, obok mnie umieścił się przewodnik mój i tłumacz, a gospodarz wraz z gośćmi wezwanymi przez siebie usiadł naprzeciw, klasnął w dłonie i kazał jeść dawać. Murzyn podał wodę do umycia rąk, a potem wziął wielką misę kuskusu, ulubionej potrawy arabskiej z kurą. Kuskusu, jest to rodzaj kaszy z krupek pszennych; ciasto pszenne na gęsto zamięszane, przesiewa się przez sito i krupki w ten sposób otrzymane suszą się na słońcu, kasza z tych krupek gotuje się na parze wodnej, a potem oblewa się tłuszczem baranim. Potrawa ta pojawia się zawsze na pierwsze dania jak w domu ubogiego, tak i w pomieszkaniu magnata arabskiego. W r. 1859 struto cesarza marokańskiego, podawszy mu arszeniku w tej ulubionej jego potrawie. Ani łyżek ani nożów i widelców nie było, za napój przyniesiono czystą wodę i mleko w dzbanach. Zamiast serwety, a zarazem zamiast chleba podano naleśniki z przennej mąki składane, któremi ociera jedzący palce zwalane tłustością, a następnie zjada swą serwetę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. S.

„GIOCONDA“ — dramat Gabryela d'Annunzio.

(Dokończenie).

Sirenetta: Siedem siostrzyc było nas. —
Każdej studni głąb pomroczna
Zwierciedliła nasze twarze
Wszystkie piękne byłyśmy.
— Kwiat siłowia nie da chleba,
A z tarniny niema wina,
Prząść nie można źdźbeł z murawy,
Nikt nie utka płótna z trawy,
Tak mawiała do sióstr matka
A pierwsza siostra chciała prząść
I chciała wrzeciona ze złota
A druga siostra chciała tkać
I chciała czółenka ze złota.
A trzecia siostra chciała szyć
I chciała igły ze złota.
A czwarta chciała do stołu sposobić
I chciała talerzy ze złota.
A piąta siostra chciała spać
I chciała nakrycia ze złota.
A szósta siostra chciała śnić
I chciała snów ze złota.
A siódma chciała śpiewać tylko;
Tego pragnęła zawsze najgoręcej,
I nie pragnęła niczego więcej.

(*Śmieje się krótkim, jasnym śmiechem, którego dźwięk srebrzystym blaskiem drga na jej lśniących zębach*)

Podoba ci się ta bajka?

Silvia: Czy już się skończyła, dlaczego nie śpiewasz dalej?

Sirenetta: Jeżeli siądziesz tu koło mnie
To ukołysze ciebie do snu,
Jak usypiałam Twoją małą.
Powiedz, nie jesteś-że ty śpiąca?
We wrześniu jest tak błogo spać.
Słodkie wino daje jesień blada
Wciąż więcej światła dniom wykrada
I do cichego grobu lato składa
Amen.

Silvia: Nie, Sirenetto, opowiadaj dalej twą bajkę

Sirenetta: Oliwka ciężko ku ziemi [zwieszona
A serce jeszcze cięższe nieśli ona.
Ściśnijcie je:
A wyciśniecie oliwę i łzę,

Silvia: Skończ twą opowieść Sirenetto.

Sirenetta: Gdzieśmy skończyły?

Silvia: „I nie pragnęła już niczego więcej“.

Sirenetta: Ah, tak:
Kwiat siłowia nie da chleba
A z tarniny nie ma wina.
Prząść nie można źdźbeł z murawy
Nikt nie utka płótna z trawy.
Tak mawiała do sióstr matka.
Każdej studni głąb pomroczna
Zwierciadliła nasze twarze,
Wszystkie piękne byliśmy.
A pierwsza przędła
Pękło wrzeciono i serce jej
A druga tkała
Nieuczesną tkaninę,
A trzecia myła
Koszulę śmiertelną.
Czwarta zastawiła
Zatrutą potrawę,
Piąta spała
Pod trupim całunem,
A szósta śniła
W objęciu śmierci.
A matka tkała
W boleści i trosce
Lecz ostatnia, która śpiewać
Tylko śpiewać chciała najgoręcej,
Otrzymała ze wszystkich najwięcej,
Bo syreny na nią zawołały
I za siostrę morską mieć ją chciały.

Silvia: Więc to prawda, że ty z syrenami rozmawiasz?

Sirenetta: (*kładzie palec na ustach*) Nie pytać.

Silvia: Czy to prawda, że żaden człowiek nie wie, gdzie ty spisz w nocy?

Sirenetta: Nie pytać.

Silvia: Czy chcesz, abym ci tu, w moim domu dała mieszkanie?

Sirenetta (*nie słysząc słów Silvii*) Masz smutne, udręczone oczy. Nie wiedziałam co mi sprawia bolesć, kiedy parzysz na mnie. Teraz widzę. Ty masz wielkie cierpienie w oczach. Czy ci kto umarł?

Silvia: Będziesz mnie pocieszała.

Sirenetta: Kto ci umarł?

Silvia: Nie pytać!

Sirenetta: Teraz dopiero widzę ciebie. To nie jesteś ty. Przypomina mi się jaskółka, z zeszłorocznej jesieni, która straciła wszystkie lotki i już, już tonęła. Co oni ci zrobili? Coś złego ci się stało.

Silvia: Nie pytać!

(*chowa okaleczałe, pokaleczone kończyny rąk w fałdy sukni ruchem bolesnym, który nie uchodzi uwagi Sirenetty*).

Sirenetta: (*W zdziwieniu opuszcza z rąk koniec fartucha i wszystkie jej skarby morskie upadają na ziemię*).

Sirenetta: (*Schyla się po muszlę*) Chcesz gwiazdę piękną, większą, niż twoja dłoń? Patrz!
Weź ją! Daruję ci!

(*Silvia odmawia ruchem głowy i zaciska wargi boleśnie*)

Sirenetta: Nie możesz. Czy bolą ciebie dłonie. Czy są owinięte?
(*Silvia potakuje*). Czy upadłaś w ogień? Popiekłaś sobie ręce? Sprawiają ci ból a może już się goją?

Silvia: (*cicho*) Nie mam ich już.

Sirenetta: (*przerażona*) Nie masz ich już? Czy ci je obcięto? (*Silvia potakuje; jest przerażająco blada. Słowa Sirenetty drżą zgrozą i współczuciem*).

Sirenetta: Nie, nie, to nie prawda! Powiedz, że to nie prawda!

Silvia: Nie mam ich już!

Sirenetta: Dlaczego? Dlaczego?

Silvia: Nie pytać!

Sirenetta; Ach, to okropne!

Silvia: Oddałam je!

Sirenetta: Komuś je oddała, komu?

Silvia: Mojej miłości...

Sirenetta: Ach. Jaka sroga miłość. Jakie one były piękne! Jak piękne! Czy sądzisz, że już nie pamiętam? Przecież całowałam ci je tak często, tak często całowałam je temi ustami. Przynosiły mi bułkę, owoce, mleko... Były tak piękne, jakgdyby ci je stworzył świt porannymi swojemi różowemi oddechami; były białe, jak piana fal, delikatniejsze od koronek, które wiatr tka na piasku; poruszały się, jak promień słońca we wodzie; umiały mówić, lepiej, niż usta, lepiej niż oczy. Przypominam sobie, widzę je, widzę. Raz bawiły się ciepłym, wilgotnym piaskiem, z pomiędzy palców przesypywał się złoty żwir, jak przez sito, a Beata patrzała; śmiała się. Ta mała. A raz bawiły się puklami jej włosów jasnych, te Twoje ręce a z każdego pukla stał się złoty pierścień dla każdego twego palca i tak ciągle... ciągle..., aż Beata usnęła...

Silvia: (*zdławionym głosem*) Nie mów więcej, nie mów więcej...

Sirenetta. Taka okropna miłość..... A gdzie one są! Daleko od ciebie, samotne, pod ziemią? Czy pogrzebano twoje ręce? Gdzie? w jakim pięknym ogrodzie? (*Silvia stoi z zamkniętemi powiekami, opiera czoło o szybę okna, na którem pali się lśnienie fal morskich odbite*). Czy widziałaś, jak je precz odnosili? Jak białe były! A twoje pierścienie? Z wszystkiemi pierścieniami?

(*Ręce Silvii opadają wzdłuż ciała bezwładne*).

Sirenetta: Myślisz o tem? Śnisz o tem? Kiedy ci znowu odrosną, takie ciepłe ((*Silvia wstrząsa się dreszczem, otwiera oczy, jak obudzona ze snu*)
Co ci jest?

Silvia: Dziwne... Czasem zdaje mi się zupełnie, jakbym je miała znowu, jakbym czuła, krew, krążącą w krańcach palców. Podczas gdy słuchałam twych słów, miałam je.. Były piękniejsze, jak przedtem, Sirenetto..

Sirenetta: Piękniejsze?

Silvia: Ty mnie będziesz pocieszać Sirenetto.

Sirenetta: Dałabym ci moje ręce, gdyby nie były tak szorstkie i tak opalone..

Silvia: Twoje ręce są szczęśliwe. Poruszają liście, kwiaty, piasek, wodę, kamienie, zwierzęta, wszystkie te niewinne rzeczy. Dobrze ci, Sirenetto. Ty nie masz nic i masz wszystko, ty nie wiesz nic a wiesz wszystko..

Sirenetta: (*szybko odwracając się*) widzisz ten rój! patrz! patrz! Ta chmura jaskółek nad morzem, jest ich więcej, jak tysiąc, cała żywa chmura. Patrz, jak lśnią. Teraz odlatują, na długą drogę, w daleki kraj. A z niemi leci cień po wodzie, gdzieniegdzie upada pióro. Wieczór zapada. Tam daleko na morzu spotkają łodzie rybackie. Zobaczą ognie, usłyszą śpiew rybaków i będą na nich patrzeć przelatując; całkiem blisko żagli będą się ocierać. Jedna, lub druga uderzy się i upadnie znużona na pokład. Jednego wieczora cała chmura znużonych jaskółek osiędzie na łodzi i nakryje ją zupełnie. Rybacy nic im nie uczynią złego. Nawet się nie poruszą, żeby nie spłoszyć znużonych ptaków, i nie będą nic mówić, aby spać mogły. A że kilka z nich usiądzie na kotwicy i na sterze, więc łódź będzie dalej płynąć na nieszczęście losu... cicho... A gdy słońce wstanie — ...Kto ciebie woła? (*ucieka, słysząc obcy głos*).
Bądź zdrowa!

Silvia: (*trwożnie*) To moja siostra, nie uciekaj, nie uciekaj, Sirenetto. Zostań przy mnie! Beata przyjdzie!

Sirenetta: Bądź zdrowa! Bądź zdrowa! Powrócę jeszcze! (*ucieka*).

Oto cudowne dzieło, prawdziwego i wielkiego poety.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Po Marcie odświeżył się nieco repertuar opery Bajazzami Leoncavalla. Tragiczne dzieje duszy wędrownego aktora ujęte w szatę muzyczną przepiękną, pełną dramatycznych efektów i wyciskających łzy, arye w których znana melodya „Smiej się Pajaco“ króluje, piękne libretto z wyciętą z Comedia dell' arte sceną na scenie — zapewniają tej operze stałe powodzenie na wszystkich scenach świata. Wykonanie tej przepięknej opery nie jest łatwem. Przedewszystkiem orkiestra, na której opiera się całe dzieło powinna być wypracowaną doskonale a w gwałtownych przejściach i frazach dyssonansowych podkreślać dramatyczność akcyi. Przecież musimy się na to zgodzić, że mało jest oper takich samych. Każda ma odrębny charakter swego ducha Jeżeli wykonanie mija się z duchem kompozycyi choćby była formalnie bez zarzutu, kompozycya traci bardzo wiele. Ten brak właśnie dawał się odczuwać u nas w wykonaniu opery — orkiestra grała bez ducha, bez planu, a chórom reprezentującym tłum, widzów brakło życia wskutek niedostatecznego opanowania swej trudnej partyi.

A soliści — ci poszli za przykładem chóru i orkiestry. Stało to się wskutek braku prawie u wszystkich gry scenicznej.

P. Warmuth jako bohater o ile śpiewał bez zarzutu swą partyę, choć brakło mu zupełnie liryzmu w śpiewie i tej nuty uczuciowej która w rozpacznej aryi „Śmiej się Pajaco“ dochodzi do szczytu, o tyle grał karykaturalnie. Śmieszne ruchy palcami, tupanie nogami, podnoszenie ramion psuło zupełnie iluzyę.

P. Esten posiada wiele nerwu dramatycznego i temperamentu, ale za mało intuicyi artystycznej. Jej Neda przypominała zupełnie Marynkę z „Janka“. A więc to co tam u góralki nie tak raziło, tu jest fatalnem. Ruchy gwałtowne i drobne, ustawianie korpusu w pozie mocno nieestetycznej, bezpotrzebna bieganina po scenie i brak wdzięku raża na każdym kroku. Pani Esten powinna zapanować nad swoim ognistym temperamentem i bardziej pracować nad wykończeniem partyi.

P. Szymański zwykle w Pajacach świetny. P. Elszykowi należy się też uznanie za pracę i szczere chęci. Czem chata bogata...

b.—m.

Przegląd pism.

(*Głos — Przegląd tygodniowy — Ateneum — Prawda.*)

Nieśmiertelny Tomasz Carlyle zdołałby może uzdrowić społeczeństwo tegoczesne od jednej z najprzykszejszych jego chorób, od — filozofazmu. Miała epoka pseudo-klasyczna swój filozofazm, ma i opoka po-romantyczna swój. Jest to objaw całkiem naturalny: każda epoka „przełomowa“, „przejściowa“ (a któż naszej za taką nie uważa?...), nie znajdując punktu oparcia i celu we własnych działaniach, lubuje się w szybowaniu po przestworzach zasłanych jak najszerszemi, metafizycznemi pojęciami, słowem w „robieniu filozofii przyszłości“.

I powstaje rzesza takich młodych, faustyzujących natur, klecących z pustych dźwięków wielkie gmachy, których następnie ożywić i zaludnić niepodobna.

Całą kollekcyę tych budowniczych ustroju społecznego, używających w miejsce budulca — ogólników..., a za spójnię poszczególnych części swego systemu — pianki... (przepraszam: swych wyobrażeń,..), zareprezentował *Głos* warszawski. W szeregu artykułów, zatytułowanych „C o m y ś l i i c z e g o c h c e n o w e p o k o l e n i e“ postanowił „Głos“ zamknąć zarówno charakterystykę pokolenia obecnie do głosu w społeczeństwie się zapisującego, jak też i jego różnicę od poprzedniego. Powiadam: postanowił, bo w istocie nowe pokolenie odmalował:

1-o, tak niejasno, iż trudno wydedukować z wywodów „Głosu“ jakiem jest to o d r ę b n e stanowisko, którego się domaga n o w e pokolenie;

2-o, tak abstrakcyjnie, tak daleko od rzeczywistego tonu życia kwestyę postawił, iż trudno żądania „nowego pokolenia“ zestawiać z tem, co życie daje, czyli z warunkami istnienia nie w chmurach i na skrzydłach fantazyi, ale na powierzchni ziemi;

3-o, tak swe wywody nawodnił frazeologią i poetycką gadaniną, iż niepodobna się połapać, gdzie się kończą gołosłowne zapewnienia, a zaczyna wywód płynący z prawdziwego przekonania.

I tak co do pierwszego zarzutu:

W artykule „C z ł o w i e k i s p o ł e c z e ń s t w o“ wywód kulminuje w twierdzeniu, „iż na dnie największych nawet poświęceń leżeć musi s z c z ę ś c i e“ i że „lepiej jest dążąc do szczęścia mówić wprost, że się do niego dąży, aniżeli przystrajać to czysto ludzkie i naturalne dążenie w gałganki barwne szlachetności, poświęcenia, obowiązku, robić z siebie męczennika i proroka, wówczas, kiedy się nim nie jest.“ Żądanie jasno postawione: hedonizm, rozkosz, używanie, dążenie do jaknajwiększej sumy szczęśliwości — oto cel, do którego nowe pokolenie ma dążyć. Aliści już w artykule „W a r t o ś ć ż y c i a“ spotykam coś zupełnie przeciwnego: tej ewolucyi do szczęścia jest przeciwstawiona b e z w z g l ę d n a n i e m o ż l i w o ś ć dopięcia go. „Tam, kędyś za oponą chmurną płonie świetliste słońce szczęśliwości ludzkiej. Droga do chmur wiedzie po ostrych skalnych załomach, ze szczelin wyglądają szeregi widm ponurych, które dostępu na szczyt strzegą... Trzeba się wdrapywać z załomu na załom, krwawiąc dłonie i piersi, strzępkami duszy ślady swoje znaczyć, a zewsząd wysnuwają sie czarne mary zwątpienia, wołając: n a p r ó ż n o!“ — A więc nowe pokolenie ma być tak krótkowidzącem i mozolić się o dopięcie czegoś, będąc już z góry przekonanem, iż go osiągnąć nie może?...

Albo do drugiego zarzutu:

Wywody „Głosu“ są kompilacyą uogólnień, szerokich pojęć, bez względu na ich stronę praktyczną, ich zastosowanie w życiu. I tak np. szeroko i długo omawia się kwestyę, czy życie co warte, czy nie. A więc kwiatkami stylistycznymi pstrzy się na kilkanaście wierszy takie komunały, jak „życie to w większości wypadków pasmo cierpień“ (wróble już o tem na dachu świergocą), „życie u młodego człowieka mknie bardzo szybko“ (każdy o tem wie), „ojcowie nasi nie znali takiego życia“ (babki wciąż nam to powtarzają) i t. d., w kilkudziesięciu dalszych wierszach polemizuje się z dawniejszem pojmowaniem wartości życia — aby wreszcie na samym końcu się przyznać, że my... właściwie... „nic nie możemy powiedzieć o wartości życia“ Sic! A więc poco było używać (wzgl. nadużywać) tych pojęć, skoro się nie włożyło w nie żadnej treści, poco puszczać w atmosferę bańki mydlane, skoro się wie, iż dla braku treści, braku ciężaru, braku wartości wewnętrznej prysnąć muszą?...

A wreszcie trzeci zarzut: ta przeklęta frazeologia, której się tak trudno ustrzec w tych czasach ogólnego rozliteratyzowania się umysłów! Chcąc powiedzieć, że nauka, jako czynnik normujący życie ekonomiczne i społeczne zabija wolę jednostki, jest zabójstwem dla ducha twórczego wsiada „Głos“ (w artykule „M y ś l i w o l a“) na Rossynanta i groźnie wymachując biczyskiem z piasku, buja... buja... hen!.., po przestworzach blagi: „Wichrów ryglować nie wolno! I oto jesteśmy teraz świadkami godziny wyrocznej, która zaczęła bić, a może długo jeszcze bić będzie. Natura się mści. Widownią jej zemsty są obecnie dusze nowego pokolenia. Biedne, skazane na śmierć ofiary!... Giń maro! Na zwycięskim rydwanie, ciągnionym przez młodych zapaleńców, strojna w królewskie orszaki, z czołem dumnem, zimna i rozkazująca — przyjechała do nas z Zachodu. Była to nauka... i t. d. i t. d.

Nie! Stanowczo nie. Szereg artykułów zamieszczonych w „Głosie“ pod nagłówkiem „Co myśli i czego chce nowe pokolenie“ to nie fundamenta etyczne, na których pokolenie zdrowe i usilnione powstać by mogło. To najwyżej widzimisię pana Iksa lub Ypsylonta.

* * *

Rozpanoszenie się w prasie tego apostolstwa deklamacyjnego zasad etycznych spotkało się w „*Przeglądzie tygodniowym*“ (Nr. 50) z nader stanowczą odprawą. Wychodząc z założenia, że etyka nie jest konikiem, na którym gwoli własnej korzyści i fantazyi wyprawiać wolno dziennikarskie harce“ i że „do pomysłów chybionych zaliczyć należy będące dziś w modzie kwestyonaryusze etyczne, konkluduje „Przegląd“: „Ażeby przemawiać do ogółu, trzeba mieć na to prawo, a prawo to zdobywa się, nie szumnie brzmiącymi frazesami, lecz życiem nieskazitelnem i szlachetnymi czynami... Niech zdziesiątkuje się raczej zastęp bojowników moralności, lecz ci, którzy posostaną, niech będą prawdziwymi apostołami. Z ust takich ludzi niech popłyną ku nam nawoływania, wówczas pochylą się głowy nasze, skruszeją serca...“

* * *

Twórczość nasza na polu filozofastycznych rozstrząsań stoi — niestety! — w odwrotnym stosunku do twóczości na polu prawdziwej filozofii. Prawdę tę konstatuje bardzo dowodnie Wł. M. Kozłowski w listopadowem *Ateneum*.

Po okresie rozkwitu oryginalnej twórczości w latach pięćdziesiątych, błyszczącym nazwiskami Hoene-Wrońskiego, Libelta, Cieszkowskiego, Kremera, Gołuchowskiego, Trentowskiego, następuje powolny zanik wszelkiej pracy oryginalnej, aż wreszcie, kiedy „żywotność haseł pozytywistycznych zaczęła się wyczerpywać“ następuje okres wyjałowienia się. „Z młodszego pokolenia pisarzy, jeden tylko W. Lutosławski, uczeń Teichmüllera, ogłosił — dotąd tylko w formie szkicowej — zasady poglądu na świat, który nazwał „indywidualistycznym“, a który uważa za wyraz ducha narodowego polskiego. Mówiąc więc o filozofii polskiej w chwili obecnej, mamy na myśli nie tyle oryginalne systematy, ile raczej literaturę filozoficzną“.

* * *

Lecz dajmy pokój smutnym refleksyom na temat atrofii prawdziwej filozofii, a hypertrofii filozofazmu, a przejdźmy do kwestyi o kształtach konkretniejszych, mogącej w wysokim stopniu przyczynić się do uzdrowienia wyżej wymienionej niedostatków naszej działalności publicznej.

Pod tytułem „P o t r z e b a r e f o r m y“ zamieszcza *Prawda* warsz. (Nr. 48) artykuł G. Danilowskiego. Po dość niejasnem argumentowaniu na temat, iż krytyka literacka obecnie równa się stajni augiaszowej z czasów, kiedy jej jeszcze nie oczyścił Herkules, iż w piśmiennictwie grasuje najpotworniejsza tandeta, bo „w tej ckliwej chloroformowanej atmosferze dychawiczeją pegazy i sparowane z oślicą redakcyjną, wydają na świat najszacowniejszy dziś okaz posłusznego, pracowitego, wytrzymałego muła, który ryczy na zawołanie o wszystkiem, czego dusza zapragnie“ — autor rzuca hasło reformy.

Należy więc przedewszystkiem:

„1) Podnieść dział krytyki i sprawozdań literackich, usuwając bezmyślną metodę opowiadania;

2) Skwapliwie notować i podkreślać nazwisko wydawcy, który wypuszcza w świat tandety;

3) Zmienić dotychczasowy sposób wynagradzania pracy autorskiej (według ilości wierszy)“.

Brawo! Wybornie! Szkoda tylko, iż autor zapomniał wskazać Herkulesa, któryby się odważył zapoczątkować takie czyszczenie publicystyki...

Ze świata.

Zawiązany we Lwowie z końcem r. 1899 komitet do sprowadzenia zwłok Chopina do kraju, ogłasza w pismach galicyjskich następujące sprawozdanie ze swych czynności: Celem wytknięcia sobie właściwego kierunku działania zwrócono się przedewszystkiem do osobistości decydujących z zapytaniem, czy i w jakich warunkach możliwem byłoby złożenie zwłok mistrza w Krakowie, ponieważ Lwów z góry w tym względzie był wykluczonym. Okazało się wszakże, że i o Krakowie myśleć nie można. Do wyboru były bowiem tylko podziemia katedry wawelskiej lub groby zasłużonych na Skałce. Zasięgnięte u wspomnianych osobistości informacye okazały, że nie da się uzyskać, ze względów zasadniczych, pozwolenia sprowadzenia zwłok Chopina na Wawel: na Skałkę zaś nie zgadza się rodzina mistrza, wobec czego decyzya co do dalszej akcyi w tej sprawie musi być pozostawioną rodzinie. Wspomnianą uchwałą zgromadzenia ogólnego polecono komitetowi zająć się obok tej sprawy sprowadzenia zwłok, także sprawą postawienia Chopinowi pomnika we Lwowie. I w tym względzie rozpoczęto niezwłocznie rokowania tak z zawiązanym u nas już przed kilku laty komitetem budowy pomnika, jak i z Kołem literacko-artystycznem. Rokowania te nie dowiodły do pożądanego skutku, ponieważ wedle wiadomości, jakie otrzymaliśmy, komitet wspomniany rozwiązał się przekazując swe czynności wydziałowi Koła literacko-artystycznego, które czynności tych wszakże nie objęło, a w szczególności, mimo zapadłej w tym względzie dnia 13. grudnia 1899 r. uchwały, nie było w możności wydać nam zebranych przez komitet budowy pomnika stosunkowo znacznych funduszów. Ze względu na ten stan rzeczy uznał ściślejszy komitet dla sprowadzenia zwłok Chopina, że na razie nie byłoby stosowne odwoływać się do ofiarności publicznej, celem zbierania składek czy to na sprowadzenie zwłok, czy też na postawienie pomnika Fr. Chopina.

*

Nowy poemat Ojca Ś-go, oda łacińska na cześć ubiegłego stulecia, ogłoszona została w gazecie rzymskiej „La Voce della Verità“, a składa się z czternastu strof i ma być niejako ehrze ściańskiem przedstawicielem „Carmen saculare“ Horacego. Tonem zasadniczym poematu jest melancholia, sąd zaś Ojca Ś-go o XIX. stuleciu pesymistyczny. Zdobycze ducha ludzkiego w ciągu stulecia minionego, nie mogą, zdaniem Ojca Ś-go, zrównoważyć strat, jakie poniósł w tym okresie czasu, moralny i religijny pierwiastek cywilizacyi. Pośród pożałowania godnych wypadków wieku ubiegłego Ojciec S-ty wymienia ze szczególnym naciskiem „wojnę“, prowadzoną tysiącami podstępów przeciw świętom Watykanu“ i woła: „Prawo“ zabrane ołtarzowi, chwieje się i pada na ziemię“. W drugiej części poematu wzywa Ojciec Ś-ty do posłuszeństwa dla przykazań Boskich i wiary w Jezusa Chrystusa, a kończy odę słowami: „Dokonany jest mój bieg, który żyję lat dziewięćdziesiąt, dzięki dobroci Twojej. Wszelako uwieńcz dzieło Swoje i nie dopuść, aby wiatr rozwiał prośby Twojego Leona“. — Wszyscy kardynałowie, oraz znaczna liczba innych wybitnych osobistości we Włoszech i po za ich granicami, mają otrzymać egzemplarze poematu Ojca Ś-go.

*

Po otwarciu w Sztokholmie testamentu Andrée'go ostatnie już chyba wspomnienia poświęcają dzienniki zuchwałemu podróżnikowi, który, puściwszy się balonem do bieguna północnego, dał dowód, jak chcą jedni, szalonej odwagi, czy też dopuścił się poprostu samobójstwa, jak twierdzą inni, lepiej podobno poinformowani. Już w latach najmłodszych dawał Andrée dowody wysoko rozwiniętej indywidualności przez dokonywanie śmiałych doświadczeń chemicznych. W piątym roku życia wykradał kurcze jaja i czynił w nich poszukiwania kurcząt. Nigdy nie brał udziału w chłopięcych zabawach swoich rówieśników, zawsze poważny, zamyślony, obmyślający plany dalszych lub ekscentrycznych wycieczek. W latach młodzieńczych zdumiewał swoich współtowarzyszy czystością duszy i siłą charakteru. W r. 1882-im odbył już pierwszą swą wycieczkę na Szpicberg, jako członek wyprawy meteorologicznej, która jeździła na północ z polecenia rządu szwedzkiego w celu dokonania spostrzeżeń nad elektrycznością atmosferyczną. W czasie wyprawy zwracał młody uczony na siebie uwagę niesłychaną pracowitością i umiejętnością systematycznego rozłożenia sobie czasu. Pozostawił po sobie w Sztokholmie piękną bibliotekę, złożoną przeważnie z dzieł matematycznych i geograficznych.

*

W nowym parlamencie najliczniej reprezentowani są agraryusze i obszarnicy, którzy liczą 163 przedstawicieli. Po nich idą adwokaci i notaryusze, w liczbie 62. Dziennikarstwo ma w nowym parlamencie 28 przedstawicieli. Z zawodu nauczycielskiego weszło do parlamentu 8 profesorów szkół wyższych, 14 dyrektorów i profesorów szkół średnich, tudzież 7 nauczycieli szkół ludowych. Duchowieństwo reprezentowanem jest w parlamencie przez 24 przedstawicieli, między którymi znajduje się 1 biskup, wybrany na Bukowinie. Dalej liczy parlament 25 przemysłowców, 15 kupców, 5 lekarzy i aptekarzy, 8 inżynierów, architektów i budowniczych. Urzędnicy rozmaitych kategoryi stanowią tylko mały procent wybranych. Niektórzy posłowie figurują jako „prywatni“. Obecny parlament liczy 110 doktorów wszelkich fakultetów.

*

Podobnie jak *Kuryer warszawski*, rozpowszechniony dziennik petersburski *Russ. list.* zarządził ankietę, dotyczącą charakterystyki wieku XIX-go, i wypełnił ją zagadnieniami, wkraczającemi w dziedzinę przyszłość. Redakcya rozesłała kwestyonaryusz do najwybitniejszych przedstawicieli literatury świata całego z pytaniami następującemi:

„1) Co, według zdania pańskiego, przyniósł najlepszego wiek XIX? (Wydarzenie, osoba, dzieło sztuki itp.)

2) Jakie życzenie śle pan XX. stuleciu?

3) Jak pan sobie wyobraża XX. stulecie?

Z otrzymanych odpowiedzi za najlepszą uznano nadesłaną przez Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa). Oto odpowiedź jego:

1) *Za najlepsze uważam*:

Zniesienie poddaństwa w całej Europie.

Powstanie sprawy robotniczej i kwestyi równouprawnienia kobiet. Rozwój dobroczynności publicznej, który się wyraził w opiece nad podrzutkami, kobietami upadłemi, rannymi; więźniami, w opiece nad zwierzętami itd. Rozpowszechnienie oświaty.

Oswobodzenie Grecyi, Włoch, Serbii, Rumunii i Bułgaryi. Wielkie wynalazki techniczne, a w ich rzędzie zastosowanie maszyny parowej i puszczenie w ruch: warsztatów robotniczych, wagonów i okrętów. I wogóle wszystkie reformy i okrycia, które wzbogaciły umysł ludzki, uczucia ludzkości i energię.

Za najgorsze uważam:

Wewnętrzne osłabienie Francyi.

Ubóstwo i brak szkół w Rosyi, Polsce i we Włoszech.

Wybuch nienawiści rasowej i religijnej i główne jej wyniki: antysemityzm i hakatyzm.

Przewagę fałszu w stosunkach politycznych i religijnych.

2) *Pragnę, ażeby wiek XX. przyjął i urzeczywistnił następujące zasady*:

Każdy człowiek, każda warstwa społeczna, każde wyznanie i naród obowiązani są nietylko nie przynosić krzywdy innym ludziom, warstwom społecznym, wyznaniom i narodom, lecz przeciwnie dokładać winny wzajemnie wszelkich starań dla dojścia do możliwej doskonałości i szczęścia.

Każdy człowiek i naród każdy dążyć winni do samoudoskonaleeia się, t. j. do wszechstronnego rozwoju swych zdolności fizycznych i duchowych i do zwiększenia swych środków materyalnych.

Każdy człowiek i naród każdy mają prawo do stworzenia sobie szczęścia w graniyach możliwości; w stosowaniu tego prawa nie powinny istnieć żadne przywileje, żadne ograniczenia.

3) *Jak sobie wyobrażam XX. wiek?*

Oświata, dobrobyt i moralność będą udziałem ogółu; prawa i obowiązki każdej jednostki staną się jednakowe, bez względu na jej zawód, wyznanie, narodowość itd.

Narody Europy utworzą federacyę, której głównem zadaniem będzie przedewszystkiem urzeczywistnienie pokoju i zgody.

Wszyscy ludzie będą prowadzić życie zgodnie z zasadą: osiem godzin pracy, osiem godzin odpoczynku.

Długość życia ludzkiego wzrośnie, najniebezpieczniejsze choroby osłabione będą.

Wynaleziony będzie łatwy sposób rozkładu wody na części zasadnicze.

Będą także wynalezione przyrządy do przenoszenia się w powietrzu z miejsca na miejsce, szybko i bezpiecznie.

Ukażą się ważne odkrycia w dziedzinie biologii, które wyjaśnie znacznie „istnienie“, psychologia wyjaśni sprawę „duszy“.

Dowiemy się, zkąd powstały planety i czy Mars jest zamieszkały“.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5